

Albo zdziażdżałem, albo faktycznie było ciężko

05.01.2019

Silny wiatr smaga nas po twarzach śniegiem i kawałkami lodu. Mamy zmarznięte wszystkie palce, ale najgorzej jest z oczami. Nie jesteśmy w stanie wypatrywać, którądy prowadzi trasa. Aga przekrzykując wiatr woła do mnie:

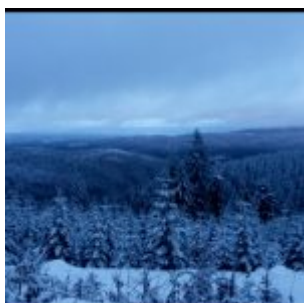
– DZIKU IDŹ PRZODEM, JA BĘDĘ PATRZYŁA NA KOŃCÓWKI NART!!!

– OK!!! – po czym próbuję ją wyminąć, ale przede mną jest wysoka zaspą. Dziwne, bo powinien być w miarę płaski szlak. Wdrapuję się na zaspę i spadam z drugiej strony. Aga krzyczy w pustkę ale brak odzewu.

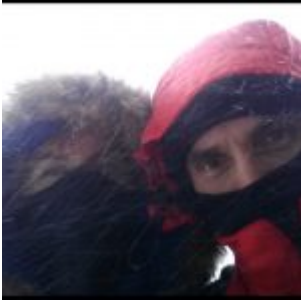
Dzika ani widu ani słyhu.



Husaria tuż przed parkingiem i końcem „treningu”



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu



Na szczycie – 1491 m



W drodze na Pradziada



Jakiś 20-ty km trasy. Powrót do auta.

29.12.2018 – Trasa nr 1



Husaria tuż przed parkingiem
i końcem „treningu”

Celem jest rozruch, który przyda się Adze po – jakby nie patrzeć – blisko 3,5 roku *odpoczynku*. W tym czasie jedyne co robiła, to pranie, przewijanie, noszenie, karmienie, lulanie itp. Nie wspomnę już nawet o 2 ciążach, w których to już w ogóle spoko, bo pracować nie trzeba. Zresztą kto doświadczył to wie. Ogólnie l a j c i k.

Zaliczyła wprawdzie w tym czasie parę [wyskoków na szczyty](#) pomiędzy karmieniami, wspinanie skałkowe, drytooling, a nawet kurs lawinowy. Trochę pobiegała, poprawiła wynik na 10 km, pomykała [w 6 miesiącu ciąży po Alpach](#), no ale to wciąż nie była regularna wyrypa. No to teraz przyszedł moment, że wystartowaliśmy.

Dzieci podrzucamy do „Dziadków 1” pod drzwi. Dzwonimy dzwonkiem i uciekamy.

Start na biegówkach z Zieleńca. Celem jest Wielka Destna ale na luzie, bo ogólnie ma być, jak już wspomniałem – rozruch. Dlatego nie przejmujemy się, kiedy skręcamy nie tam gdzie trzeba i po 7 km do najwyższego punktu Gór Orlickich mamy nadal tyle samo, ile teoretycznie było z parkingu. Po drodze zaliczamy Orlicę, przemy w górę i w dół bez względu na taką sobie pogodę i kompletny brak widoczności. Jest bosko i gdy wracamy na parking jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani pomimo, że główny cel pozostał w zasadzie nieosiągnięty.

Za nami 15 km i całkiem niezłe tempo. Całość zajęła nam 2h40'. Na zjazdach osiągam prędkość 25 km/h, daje to pojęcie jaki w biegówkach jest potencjał.

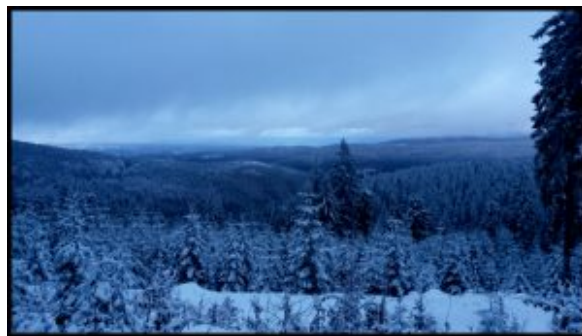
30.12.2018 – Trasa nr 2

Tym razem bardziej skupiamy się na dotarciu na Destną. Idziemy po najmniejszej linii oporu i szybko docieramy na biegówkach w pobliże szczytu. Ostatnie 2 km dłużą mi się niemiłosiernie, bo postanowiliśmy zjeść sobie bułkę dopiero przy schronisku, a głód męczy mnie od dłuższego czasu. W każdym mijanym drzewie widzę dach budynku. Miraż wynika z tego, że ponownie walczymy

w gęstej mgle (takiej co kury dusi). Koniec końców docieramy do „zajazdu dla biegówekarzy”, zaliczam bułkę, zaliczamy szczyt, no i zaliczamy 20 km w takim sobie czasie (4h 20'). Być może dlatego, że nie odrobiliśmy strat na zjazdach wybierając niekorzystnie uformowaną trasę. Tzn. zbyt stromą jak na nasze umiejętności. Była to trasa typu „padłeś – powstań”, gdzie Aga co rusz lądowała na śniegu. Musiało to rozpaczliwie wyglądać, bo jeden przyglądający się jej zjazdowi Czech podszedł i wyciągnął z za pazuchy piersiówkę. „Masz, na odwagę i siłę” – powiedział. Zresztą kawałek dalej inny Czech podszedł do niej z „batonikową premią”. Ważne jednak, że oboje czuliśmy się jak w swoim żywiole. To był nasz wspólny wielki powrót na szlak. Udany powrót.

Wracamy odebrać dzieci. Dziadki wyglądają na zmęczonych bardziej od nas. Lokalizacja na jakiś czas spalona.

PS. Dzieciom też nie darujemy w tych dniach i chcąc nie chcąc zdobywają swoje pierwsze sprawności w śniegu i mrozie.



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu

05.01.2019 – Trasa nr 3

Podjeżdżamy pod dom „Dziadków 2”. Podstawiamy ciepło ubrane dzieci, dzwonimy dzwonkiem i uciekamy. Jedziemy na parking na Červenohorské sedlo, zostawiamy auto i ruszamy na biegówkach w trasę. Naszym celem tym razem jest Pradziad. Przez cały czas sypie śnieg, widoczność słaba, jednak mamy dobre tempo i dużo

radości z tego, że tu jesteśmy. W mijanym po drodze schronisku zjadamy całe nasze zapasy. Do szczytu pozostało ze 3,5km, więc psychicznie nastawiamy się na dalszą zabawę. I to był błąd, za który zapłacimy.

Od skrzyżowania (1,5km do szczytu) wchodzimy w śnieżną zamieć. Szybko zaczynam mieć dość i czekam, aż Aga powie magiczne słowo „zawracamy”. Ona jednak, pomimo, że jest jeszcze mniej odpowiedniego ubrania ode mnie prze do przodu. Błądniek wariuje, nie wiemy gdzie jest prawo, gdzie lewo, gdzie góra a gdzie dół. W pewnym momencie Aga uświadamia sobie, że stoi w miejscu pomimo, że była pewna, że jedzie do przodu po moich śladach. Ściąga narty i idzie z nimi pod pachą. Krzyczy bym się nie oddalał, tym bardziej, że tylko kilka metrów różnicy powoduje, że tracimy się z oczu. W tych paskudnych warunkach docieramy do budynku na szczycie Pradziada (1491 m n.p.m.), w środku odpoczywamy dłuższy czas. Wokół nas narciarze zjazdowi i turyści piesi. Jedni młodzi, inni to wręcz dzieci. Jak oni tu dotarli? Dlaczego nic sobie nie robią z tego, co nas czeka na zewnątrz? Czy to tylko mnie ten wiatr smaga i odmraża mi palce? Dobrze, że chociaż Aga decyduje się założyć getry i maskę, bo bym pomyślał, że do reszty zdziażdżałem. Wychodzimy na zewnątrz i posuwamy się pieszo szeroką drogą w dół. Szybko decydujemy się założyć narty, gdyż wiatr wyrywa nam je z rąk. W pewnym momencie Aga krzyczy, bym ją wyprzedził. Nie jest w stanie patrzeć przed siebie, kiedy wiatr tnie po oczach kawałkami lodu. Chce iść pochylona i patrzeć na końcówki moich nart. Tymczasem mi znów błądniek oszalał i mijając ją zupełnie zmieniam kierunek marszu. Wchodzę na zaspę na krawędzi szlaku i zsuwam się szybko w dół. Przynajmniej wiem, gdzie jest góra, bo gdybym nie spadał to bym nie wiedział. Kiedy wyhamowuję na oblodzonym stoku, nie mam już z Agą żadnego kontaktu. Krok po kroku wracam na górę, widzę już tyczki, jest też zarys postaci.

- DZIKU!!! SPADŁEŚ ZE SZLAKU!!! – krzyczy zarys.
- CHCIAŁAŚ MNIE ZABIĆ!!! – odkrzykuje Dzik.



W drodze na Pradziada

Tfu! Nie po to włąziłem na dziesiątki szczytów w Alpach, żeby się na czeskim Pradziadzie połamąć, odmrozić i nie wiem co jeszcze. No ale łatwo powiedzieć, a trzeba się naprawdę spiąć, żeby się z tego wydostać. Zjeżdżamy na ślepo, byleby za tyczki nie wypaść, Aga „płuży”, ja tymczasem tnę coraz szybciej. Znów tracimy się z oczu, ale doganiam innych turystów, a to działa dobrze na psychikę. Mijani turyści idą z psami. Bardzo dziwnymi psami, bo z jednej strony czarnymi a z drugiej – nawietrznej – kompletnie białymi. Sierść pokryta lodem i śniegiem, nawet pysk do połowy zamrożony. Ale trzymają się dzielnie, może wyjdą z tego bez odmrożeń. Moje palce już bez czucia i krążenia. Zarówno te w rękach jak i u stóp. Gdy docieramy do skrzyżowania wiatr się uspokaja. Teraz byle tylko do schroniska, cały czas w dół. Po jakimś czasie czuję ból w dłoniach. Uff – wraca czucie w rękach. Z palcami u stóp gorzej, ale do tego już się przyzwyczailem i się nie martwię. W plecaku mam suche skarpetki i woreczki – ten zestaw zrobi robotę i będzie całkiem komfortowo do samego auta. Aga... jakby nigdy nic, uśmiechnięta, idzie zamówić piwo. Zuch dziewczyna! Zanim do końca odtajemy będziemy już rozmyślać nad kolejnym celem. Znów czujemy, że żyjemy i że robimy to, co kochamy i co nas łączy.

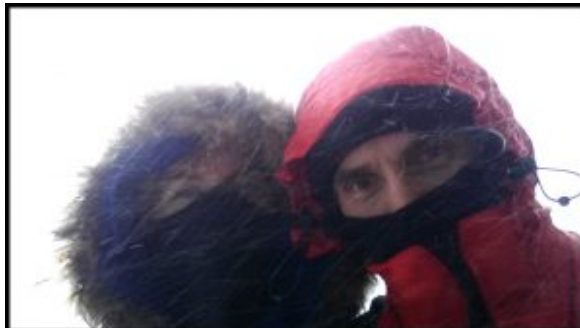
Za nami tego dnia 25 km, co zajęło nam w sumie 5h15'. Maksymalna prędkość 26 km/h.



Jakiś 20 km trasy. Powrót do
auta.

tekst – Dziku

PS. wieczorem w łóżku paskudnie pieką mnie oczy. Wiatr, mróz i śnieg zrobiły swoje. Mam problem z przeczytaniem synowi bajki o Św. Mikołaju, któremu Elfy usprawniły sanie o silnik odrzutowy. Przez łzy widzę obrazek w bajce, na którym Mikołaj ma na nosie GOGLE. Cholera, ileś to się można nauczyć czytając bajki dla dzieci.



Na szczycie – 1491 m